Nr. 50 Rok 2 Kraków, dnia 14 grudnia 1941. 40 gr.



WAKACJE W OJCZYŹNIE

Oto jeden z wielu tysięcy naszych robotników rolnych, którzy w tych dniach przyjeżdżają z Rzeszy do Generalnego Gubernatorstwa na kilkutygodniowy urlop. Jest nim Piotr Śpiewa z Kolbuszowej; z zawodu jest on rolnikiem, w Niemczech więc też pracował u gospodarza.

Fot. I. K. P.

W numerze świątecznym I. K. P., który wyjdzie w szacie trójkolorowej dnia 21 grudnia 1941 r., ukaże się też obszerny reportaż z powrotu naszych robotników rolnych na urlop świąteczny.

BITWA W AFRYCE



Przed rozpoczęciem bitwy na pustyni odprawia się msza polowa, której słuchają żołnierze niemieccy. Na skromnym ołtarzu stoi krzyż pomiędzy dwoma świecznikami.







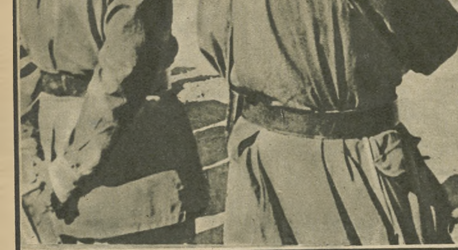
Auto pancerne niemieckiego korpusu afrykańskiego posuwają się na pustyni w Afryce północnej ku wrogowi.

Powyżej widzimy niektóre ze stanowisk angielskich w Tobruku otoczonym przez wojska niemieckiego korpusu afrykańskiego i wojska włoskie. Z coraz ciaśniejszego koła jest wyślizgnięcie się niemożliwe.



Powyżej: Odznaczony krzyżem rycerskim porucznik Kümmel nazywany „Lwem Kapuzzy" podczas wypadu swego oddziału czołgów w Afryce.

Fot. Ass. Press 5
Atlantic 2
Scherl 3











Miasto Tobruk, zajęte przez Anglików, jest w większej części zniszczone od bomb niemieckich i włoskich oraz strzałów artylerii. Wśród gruzów stoi nienaruszony zupełnie kościół.





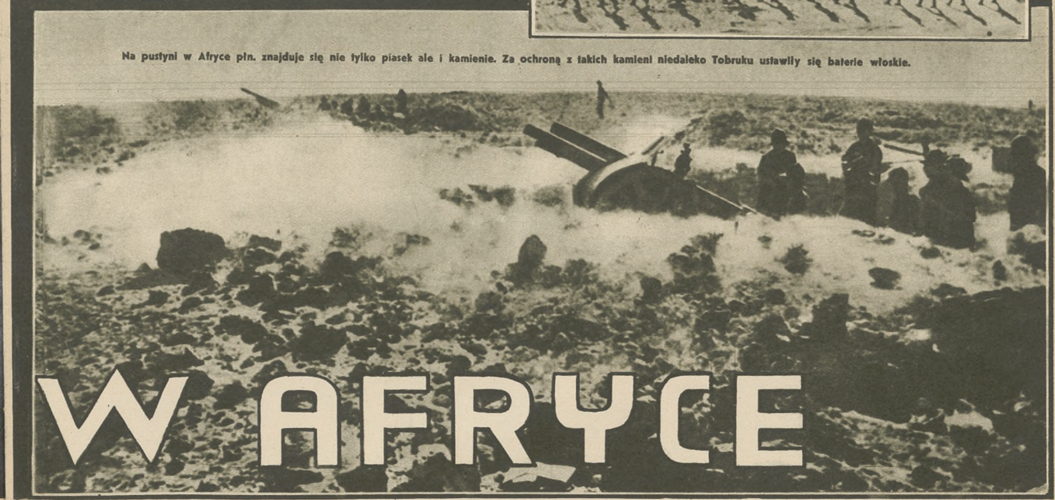


Nasze zdjęcia obok wykonane zostały przez sprawozdawców angielskich podczas nalotu bombowców niemieckich na Tobruk. Widzimy tu najpierw skutki nalotu na brytyjską obronę przeciwlotniczą objętą przez wojska australijskie. Dalej — żołnierzy angielskich przemaszerowujących obok stacji wodnej, zbombardowanej doszczętnie przez niemieckie samoloty Stu-ka.

Od 3 tygodni na nowo rozgorzała po dłuższej przerwie walka na pustyni w północnej Afryce. Gdy Anglicy rozpoczęli tu swą ofensywę głównym jej celem było połączenie się z resztkami wojsk brytyjskich już od dłuższego czasu zamkniętych w Tobruku. Stąd to chciano pokazać władcom bolszewickim, jak również podżegaczom wojennym w U. S. A., że Anglia znów ujęła inicjatywę w swe ręce. Poczyniono odpowiednie do tych celów przygotowania. Armia, która w dniu 19 listopada zaatakowała w Libii oddziały niemieckie i włoskie, była od miesięcy planowo do tego przysposabiana, odpowiednio uzbrojona i liczebnie znacznie wzmocniona. Tymczasem Anglicy atakujący nie zdołali wysunąć się ani o cal poza swoje dawne stanowiska — co więcej ponieśli nawet bardzo znaczne straty w materiale wojennym (stracili ponad 800 tanków) i w ludziach. Raz po raz brytyjskie siły zbrojne dostają się w zasadzki. Niedawno np. dostało się w ten sposób do niewoli 2 generałów angielskich i 9000 ludzi. Tak więc w ostatnich czasach armia generała Auchinlecka poniosła ciężkie straty w walkach w północnej Afryce, a należy jeszcze oczekiwać dalszego rozwiązania wciąż jeszcze uporczywych a miejscami bardzo zażartych walk w Libii.



Na pustyni w Afryce płn. znajduje się nie tylko piasek ale i kamienie. Za ochroną z takich kamieni niedaleko Tobruku ustawiły się baterie włoskie.









„JEŻ" NA FRONCIE SOLLUM

Na froncie pod Sollum, w Afryce, wysunął się oddział szperaczy daleko poza własną linię frontową. Aby zabezpieczyć się od niespodzianek ze strony nieprzyjaciela podczas nocy, ustawiono wszystkie pojazdy w kole lufami na zewnątrz, tworząc z nich najeżony pierścień.

Na lewo:

ATAK NURKOWY NA BRYTYJSKIE STACJE BENZYNOWE W AFRYCE

Myśliwce niemieckie w stałych, niespodziewanych atakach częstują ogniem z karabinów maszynowych brytyjskie namioty, składy broni i kolumny samochodowe.

Na lewo:

NIEMIECKA OBRONA PRZECIWLOTNICZA OSTRZELIWUJE STANOWISKA ANGIELSKIE W AFRYCE

Na prawo:

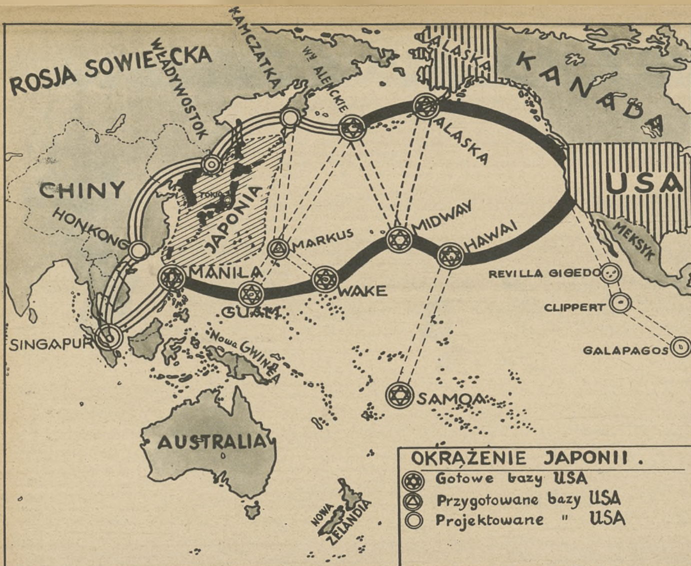
NA FRONCIE MARMARIKA

Żołnierze włoscy z miotaczami płomieni w ręce przechodzą przez zasiek.

CORAZ LICZNIEJSI JEŃCY W AFRYCE

Na zdjęciu na prawo widzimy odprowadzenie jeńca brytyjskiego po zdobyciu wysuniętego stanowiska brytyjskiego. Włoski karabin maszynowy stanowi ochronę.





SYTUACJA WOJENNA JAPONIA-U. S. A.-ANGLIA

W poniedziałek dnia 8 grudnia japońska naczelna kwatera wojskowa podała do wiadomości przez radio w Tokio, że od poniedziałku 6-tej godziny rano istnieje stan wojenny na wodach Oceanu Spokojnego między Japonią a wojskami Anglii i Stanów Zjednoczonych, i że pierwsze działania wojenne wypadły dla Japonii pomyślnie. Tak więc stało się to, co chciał uzyskać Prez. Roosevelt przez ustawicznie wzmagające się w ostatnich tygodniach podżegania do wojny. Wprawdzie od dłuższego czasu toczyły się rokowania między Tokio a Waszyngtonem i niekiedy zdawało się, że rozsądek przecież jednak zwycięży w Stanach Zjednoczonych, zdawało się jak gdyby bardziej umiarkowane koła miały przewagę nad podburzającymi do wojny. Ale Japonia nie mogła na stałe pogodzić się z tym, że Ameryka uzurpuje sobie prawo mieszania się do nowego porządku wprowadzonego przez Japonię na terenach azjatyckich, a to: przez dostarczanie materiałów wojennych dla rządu Czung-Kinga, przez obsadzenie Drogi Burmenskiej pilotami amerykańskimi, przez wysyłanie amerykańskich okrętów wojennych na wody japońskie. Japonia starała się przez wysłanie specjalnego posła do U. S. A. spróbować pokojowego rozwiązania sprawy. Jednakże graniczące z manią wielkości plany ekspansji Roosevelta i stojących za nim bankierów żydowskich rozdmuchały niebywałe dążenia do władzy pewnych kół U. S. A. tak, że do porozumienia z Japonią przez to dojść nie mogło. Również próby mącenia Churchilla i łączność Białego Domu ze Stalinem zrobiły swoje i nie dopuściły do pokojowego rozwiązania amerykańsko-japońskich problemów chociaż najszersze koła narodu amerykańskiego są przeciwne planom Roosevelta rozszerzania wojny. Tak więc naród amerykański wbrew swej woli musi opłacić krwawymi ofiarami lekkomyślnie przez Roosevella wywołaną wojnę.





MARSZAŁEK RZESZY GÖRING I MARSZAŁEK PÉTAIN
spotkali się w ostatnich dniach w St. Florentin-Vergigny w celu przeprowadzenia ważnych rozmów, które też odbyły się w duchu przyjaznej współpracy.

Fot. Atlantic, PGG — Bildstelle

GENERALNY GUBERNATOR W BUDAPESZCIE

PRZYJĘCIE U REGENTA HORTY'EGO



Na zaproszenie szefa węgierskiego sztabu generalnego honwedów generał-pułkownika Franciszka Szombathelyi odwiedził Budapeszt Generalny Gubernator, minister Rzeszy Dr. Frank.

W środku:
Generalny Gubernator kroczy przed frontem kompanii honorowej. Na lewo widzimy generał-pułkownika Franciszka Szombathelyi.



Dr. Frank rozmawia z szefem węgierskiego sztabu generalnego vitezem Franciszkiem Szombathelyi.



Generalny Gubernator Dr. Frank wziął udział w wycieczce do Plattensee. Na naszej ilustracji widzimy go w towarzystwie burmistrza Budapesztu, generał-pułkownika Szombathelyi i nadburmistrza Budapesztu tajnego radcy Karafiáth w Balatonkenese.

LIST ZE LWOWA

Wielmożny Pani Rydaktorzy!

My tu we Lwowi, si bardzu ciszymy ży P. Redaktur wydaji taki ładny pismu Ilustrowany Kurier Polski. Jak ja przyniesy to pismu do chawiry to zara si zbira cała familia i oglundamy na wszystki boki. A puźniej to ja składam i chowam to pismu do szafy, jak swoji świąteczny koszuli i robim se album. Ni tylko si ciszu te osoby co kupuju, ali cieszu si tysz te co sprzedaju to pismu, bo oni to sprzedaju pu większy ceni jak stoji na gazecie. Rydaktur Gazety Lwowskiej, kazał mi takiegu paskaża wyligitymować i przyniść go do rydakcji, jak ja gu chciał ligitymować to un powiedział żyby ja swoji aryjski babci wyligitymował, a jak ja gu chciał wziąść i zanieść do rydakcji, to un powiedział: — Ta odczyp si Pan bu jak pana palny w tramwaj to panu z nosa kunduktor wysk.... Pani rydaktorzy tu wy Lwowi pa.... Na Chorunszczyźnie paskują ...... Hotelu georgeja do hytmańskich wałów ilust.... od tam dali na „Paryżu" gdzie Komandiry kupowali dla stalina gurący kiszki zygarki, tu tam paskują wszystkim czym kto chce. Pozatym we Lwowi ludzi wpadają pod aułta, żyby mieć w szpitalu za darmu utrzymani, a jak ałtu przyjedzi takiego darmuzjada tak ży un jusz ani troszki ni żyji, tu Magistrat musi puchować jegu niboszczyka na swój koszt bu ten niboszczyk nima przy sobi żadny dukumenty, ażeby swoji familiji ni robić kłuputu swoim niboszczykiem. W tramwaju gdzie jest napisany für (Juden) zugelassen" jeżdżu tysz chrześcijany i zawdy kilka zymdleji, bu żydy zaraz robiu sabotarz i zanieczyszczaji powitrze tak ży trzeba uciekać. Jedyn kunduktur aż płakał, bu on muwi ży on musi to wąchać 8 godzin dziennie i z tego jest bardzu blady.

Jak będzi co nowego tu ja P. Rydakturowi napiszy.

Życzy P. Rydakturowi wysołych świąt żyby si prędku wojna skonczyła, a z nią razem wszystki bulszywiki z czerwonymi i niebieskimi gwiazdkami i żyby byłu dużu wódki: ja nie trunkowy ali ja lubi wziąść za szyjkę i poklepać po boku.

Antuś...
zy Lwowa





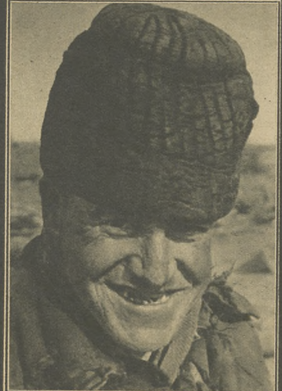
16/II 41.



Cieszy nas zainteresowanie, jakie wzbudził I. K. P. także i we Lwowie. Cieszylibyśmy się też, gdybyt autor niniejszego listu, „Antuś zy Lwowa" nadsyłał nam częściej tak zajmujące listy ze Lwowa i prosimy Go o podawanie nam swego adresu.

Równocześnie prosimy wybaczyć nam nieczytelność niektórych słów listu. Djablik redakcyjny wywrócił nam podczas czytania listu kałamarz z atramentem i tekst się zamazał. Jeżeli uda się nam schwytać go, skujemy go w dyby, by nam takich figli nie płatał.





Uwaga! Fotoamatorzy!

„ZADOWOLOY Z LOSU"

Przy fotografowaniu martwej natury i robieniu portretów ma fotografujący ułatwione zadanie przez to, że może sobie według własnego życzenia i smaku ułożyc wszystko, albo w każdym razie wiele, do fotografii. Nawet wybór światła od niego zależy, jeżeli robi zdjęcie w czterech ścianach. Jeżeli natomiast zdjęcie ma być robione na wolnym powietrzu, należy odczekać na odpowiednie światło. Fotografowanie osób zupełnie nam obcych, widzianych na szosie, na drodze, w karczmie, przed wystawą itp., daje nam również jeden plus: możliwość zainteresowania tych osob czym bądź, by nie spostrzegły się, że chcemy fotografować. Wtedy, nawet gdy osoba fotografowana patrzy na nas, czyni to zupełnie naturalnie i patrzy naprawdę, z wyrazem, a nie bezmyślnie wpatruje się w aparat. Nasz chlopak, choć w podartym ubraniu, śmieje się do nas szczerze, widok aparatu nie pozbawił go zupełnie naturalności. Zdjęcie wykonane ap. Dollina, przesł. 5,6, czas 1/30, godz. 16[30], nadesłał p. Lewicki z Jędrzejowa.



„PIERWSZY ŚNIEG"

Dobre zdjęcia krajobrazów, które możnaby uważać jako „obrazki" są bardzo rzadkie. Gdyby p. Biliński ze Skierniewic wykonał to samo zdjęcie latem, nie ujrzałby go na tym miejscu. Zdjęcie byłoby bowiem bardzo niespokojne i dość twarde. Śnieg leżący na drzewach i brak światła stłumił całą niespokojność i zarazem nie pozbawił obrazka pewnego blasku. Zwisający w środku konar nadał mu zaś głębi. Wykonano ap. Welfin II, czas 1/20.

ŚW. BARBARA W KOPALNI

Na Mszę do kopalni zjeżdżają nie tylko górnicy sami, lecz także ich rodziny i okoliczni mieszkańcy.

Fot. [illegible]

Jeden był do czasu wojny dzień w adwencie, kiedy wolno było zrzucić powagę tego okresu oczekiwania i bawić się jak w karnawale: dzień świętej Barbary, patronki górników. Symboliczne to ma znaczenie, że właśnie święta Barbara jest patronką górników. Jest ona bowiem zarazem patronką dobrej śmierci. A gdzież łatwiej może być o śmierć, jak nie w kopalni, gdzie każdej chwili grozić może pożar, uduszenie gazami, zasypanie w walącej się sztolni, zalanie wodą i tyle innych niebezpieczeństw, czyhających na życie tych ludzi podziemi. Bo właściwie terenem życia górnika są podziemia. Nic więc dziwnego, że ci ludzie, którym słońce mniej świeci niż innym, którym natomiast migocą diamenty czarnego węgla lub kryształy przeźroczystej, matowej soli, nic więc dziwnego, że na patronkę wybrali sobie świętą, która ich od niedobrej śmierci w kopalni uchroni. Wielką też czcią otaczają górnicy tę swoją świętą i równocześnie wyczuć można w tej czci to wielkie zaufanie w jej moc i zarazem pewną zażyłość. I znowu dzieje się to tak dlatego, że i górnikom śmierć najstraszniejsza nie jest obca, tak jak nie była ona obca tej ich świętej.

Pamiętamy wszyscy, jak uroczyście obchodzono to święto zawsze w kopalni soli w Wieliczce. W dzień św. Barbary odbywała się nasamprzód w kaplicy św. Kingi uroczysta msza św., podczas której przygrywała orkiestra kopalni, złożona także naturalnie z rycerzy kilofa, przybranych w strój galowy. Jakżeż by mogło być inaczej?

W kaplicy, gdzie wszystko lśniło jakimś matowym blaskiem, tak nastrojowym i podniosłym, zbierała się zawsze brać górnicza, by ten dzień jeden w roku mieć dla siebie, by zaznaczyć tam swoją przynależność do tej gromady, która stoi na straży naszego ciepła i światła i która chleb nasz czyni smaczniejszym.

A potem, wieczorem, wśród rzęsiście oświetlonych sal, lśniących jak pałac zaczarowany, drgała muzyka inna, już nie tak uroczysta, lecz żywa, zrywająca do tańca. Jakież to były chwile niezapomniane!

Dziś z racji wojny, która zainteresowania nasze kieruje w inną stronę, już nie rozbrzmiewa sala św. Kingi tym gwarem i nie ma w niej tego nastroju wesołego. Jednakże cześć dla św. Patronki przez ten czas wojny wcale się nie zmniejszyła i w tym roku właśnie w dzień św. Barbary znowu na dole w kopalni odbyła się uroczysta Msza Święta, w asyście jej wiernych czcicieli.

MORZE

Powieść Bozo Lovrica

Powieść z życia dalmatyńskiego

5 ciąg dalszy

Autoryzowany przekład z chorwackiego W. Podmajerskiego

Frano chciał się na brata rzucić z młotkiem ale robotnicy wmieszali się w kłótnię i rozdzielili braci.

— Słuchajcie, ludzie! Chciał mi nawet nieboszczkę żonę odebrać! I syna mi zbałamucił! Żeni go z tym bąkiem, co to jej matka ze wszystkimi żołnierzami i żandarmami się włóczyła po starym mieście. Ale pókim żyw, nie dożyją Kuzmaniće takiej hańby! A i statek wybudował dla mojego syna. Z żoną chce w świat... Wolałbym go raczej martwym widzieć... Drań jeden, jeszcze mi rękę podaje, żebyśmy się pogodzili. Nawet na śmiertelnym łożu nie! — i wyzywając ciągle i wygrażając, zniknął w tłumie, który ze wszystkich stron otaczał warsztat.

A gdy już gróźb napastnika nie było więcej słychać, tedy zelżony majster Frano ze wstydu i ze złości, że podniósł rękę na rodzonego brata, wyciągnął zza pasa nóż i zranił swą własną prawicę. Rozdrażnieni robotnicy, zobaczywszy krew, ledwo się powstrzymali, by się nie rzucić jeden na drugiego. W owym zgiełku i zamęcie jakiś urwisz kozikiem przebił miech napęczniały moszczem. Rozlał się moszcz czerwony i gęsty, który podobny był do strumieni zakrzepłej krwi. Ludzie wszczęli rwetes, w którym słychać było różne okrzyki:

— Trzymajcie go!

— Psia jego mać!

— Nożem go po żebrach!

I gdyby na to nie nadeszli policjanci i nie rozpędzili mieszczan, byłoby doszło do krwawej bijatyki. Nie brakłoby wtedy rozbitych głów, że brakłoby chirurgów.

II.

Takiego winobrania nie pamiętają nawet najstarsi ludzie w Velim Varoszu. Piwnice otwarte na oścież, a zaduch pleśni miesza się z zapachem wzburzonego moszczu. Przed wrotami stoją kadzie, baryły, wiadra i drewniane cebry, a koło wszystkich naczyń hałasują dzieci i brudnymi rękami szukają w zgniecionych gronach. A gdy się znajdzie czasem całe grono, porwane smakuje im lepiej, niż gdyby im kupiec darował całą gałązkę. Wszystko: i ludzie i zwierzęta i naczynia — pomazane czerwonym płynem. Koszule i ubrania popstrzone plamami wina. Nogi brudne od kurzu i gniecenia. Po naczyniach ciecze gęsty moszcz. Nawet głowy osłów nie są czyste, bo nie mogą oprzeć się pokusie, by nie zaglądnąć w pełne naczynia i nie skosztować pachnącego płynu. Czas im pójść do stajni, bo i tak, dopóki trwa winobranie, najwięcej wycierpią osły.

Ale — że to pole jest daleko, a ogród wielki — więc najemnicy chętniej zaprzęgają konie w rozklekotane wozy i na jeden wóz zabierają cały zbiór. A gdy pędzą z góry na dół, nie szczędzą biczysk, ni krzyków, ni strzelania z bicza, ale nuże po koniach! Bo i na co konie stworzone, jak nie do bicia? Z wysiłku i biegu wyskoczyły spoconym koniom żyły, zwłaszcza na chudym karku, gdzie je tłuką i ocierają za duże szory. To ci dopiero radość patrzeć, jak ścierwa rozpaczliwie szarpią i podskakują na wszystkie cztery nogi. Wozy się trzęsą i łomotają, jak gdyby wszystkie koła miały się rozlecieć, podczas gdy na boku i po krajach wozu siedzą kupcy i trzymając się za drewniane podkulki, krzyczą i napastują przechodniów. Rzekłbyś: jadą na wojnę, albo wracają z wesela. Oto bez gradu i niepogody przeszło winobranie. A urodzaj był, że na każdej gałęzi było więcej gron niż liści. Więc jakże nie krzyczeć i nie śpiewać i kolorowymi wstążkami nie ustroić koni, czapek i wozów. Niech wiedzą, czyja piwnica się napełnia.

Również i bednarzom nie łatwo podołać pracy. Któż by nastrugał tyle obręczy i naklepał tyle dyngów na nowe beczki! Gdyby nawet było ludowe powstanie, nie bębniliby bednarze wytrwalej czworograniastymi drewnianymi młotkami. Bębnieniu nie ma kraja ni końca i gdy jeden przestanie, jakby na złość podejmuje drugi i trzeci; tak za porządkiem, że na wszystkie cztery strony, na cały Veli Varosz rozlega się nieznośne bębnienie. A w bednarze poszedł, co jest naprawdę dziwne, także i syn kuma Duji. Nie podobało się Marcinowi kopanie i oto mamy go teraz między majstrami. Zasukał rękawy i nabija obręcze, że aż miło patrzeć. Gdyby go ojciec widział, łzy napłynęłyby mu z radości, jakiego to syna się dochował.

— A to ci chłop! — zaczepia go na pół żartem i na pół serio kolega Stipe.

— Zuch w gębie, ale jak co do czego, to w nogi!... Powiadają, że uciekał przed Nikolą.

— Zachciało mu się dobierać do dziewczyny, — podjął młodszy rzemieślnik.

— Jeszcze kiedy oberwie! — gniewał się stary majster, który pewnego wieczoru przyłapał Marcina przed oknem swojej żony.

— Czy ja co winien, że się podobam dziewczynom? — odparł Marcin.

— Bezwstydnicom, a nie dziewczynom. Niby to nie wiadomo, że ci Nikola sprzed nosa sprzątnął dziewuchę.

— Co mi tam o taką bękarcicę!

— Ej, żeby to Nikola usłyszał!

— Spytałbym go, jak się jej tata nazywa.

— Pewnie gdyby go przedtem związali.

— No co? Dostałby młotem po łbie, ażby mu się posoka puściła.

— No, biedaku, nie miałbyś na to czasu. On cię ta już napoczął!

— Wielka mi sztuka świdrem nawet zabić człowieka, ale porządni ludzie łapią się pierś o pierś i dopiero: kto mocniejszy!

— A na Mrdnjasza chciałeś kamieniem rzucać!

— Poskarżę ja to rybakowi, — odezwał się ten sam starszy majster, który nie mógł przeboleć, że mu Marcin zaczepiał żonę.

— Masz komu poskarżyć. Mrndjaszowi! Niech mi tylko przyjdzie! Podoba mi się, bracie, jego Maryśka. Słodkie to jabłuszko!

— Ale Mrdnjasz chowa je na swoje zęby.

— Jużem go ta nadgryzł.

— Może ziemniaka?

Ale rozmowa nie potrwała długo i bednarze, przypomniawszy sobie o robocie, ze zdwojoną siłą uderzyli w dyngi. Ale co tam wiele pomoże, kiedy co chwilę jeden albo drugi sąsiad przytacza po kilka uszkodzonych naczyń.

— Nie idzie wam ta robota, moi ludzie! — zganił ich majster Frano, który przechodził tędy przypadkowo. Od wczoraj prześladuje go złe przeczucie. Nie boi się brata, ale strach go przed zemstą, która może spaść nie na niego, ale na Nikolę. Paweł jest głupim i nierozważnym człowiekiem i gdy coś sobie wbije w głowę, nie da sobie tego wybić. Oto pojutrze ma być podniesiony maszt na statku również i zaręczyny mają być święcone, wstyd by więc było, gdyby rodzony ojciec podniósł się na syna jedynaka, zamiast, żeby dzień ten przeszedł w radości.

Obok niego przeszedł cieśla Marko i zdjąwszy czapkę na powitanie, pochwalił Pana Boga.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!

Cieśla niósł na ramieniu kilka drewnianych krzyży. Zbite były ze zwykłych desek, na końcach kończysto zacięte, a środkiem szerokie, aby było miejsce na nadgrobny napis. Nowe i tanie, jakby zrobione dla bezimiennych biedaków.

— Dla kogo te krzyże?

— Dla tego, kto pierwszy przyjdzie.

— A wszystkie takie same...

— A takie same! Ale mam i większe. Jak wam się i te nie spodobają, łatwo wyheblować nowy krzyż. Kto by tam wszystkim dogodził! Jeden chce krótszy, a drugi dłuższy.

Po chwili milczenia dodał:

— A trumny mam jeszcze ładniejsze! Ale co tam z tego, kiedy kiepskie czasy!

— Jak to?

— Mało kto umiera, mój panie. Młode jeszcze jako tako. Ale kiedy w stare kości diabeł wlezie, nijak ich nie można wypędzić z tego świata.

Majster patrzył ciągle na krzyże i naraz błysnęła mu nowa myśl, smutna myśl.

— Któż wie, czyje imię będzie wypisane na tych krzyżach. Teraz są bez napisu, a może już jutro widnieć będą na nich czarne litery... Nie trudno, a będzie wyrzezane i jego imię, albo imię jakiejś drogiej mu osoby.

Bóg wie, dokąd byłyby go zawiodły te myśli, gdyby koło niego nie wszczęła się bieganina, jak gdyby przechodniom ziemia paliła się pod nogami.

— Pobili się rybacy i bednarze!

Rybacy, którzy w tej chwili przybyli, byli źli, głodni i zmęczeni, a co gorsza, wracali bez łupu. Zarzucali na stado tuńczyków, ale ogrom ryb przebił im sieci i tak za jednym razem dwie straty ponieśli.

Spod rozdartych i zwiniętych sieci, które jak węże kręciły im się i owijały ich plecy i szyje, pochylone ich postacie pełne były groźby i gotowe do nieprzyjacielskiego skoku. Drażniła ich obfitość płodów lata, rozsypana po całym kraju. Najchętniej wyrządziliby robotnikom jaką szkodę, by się przynajmniej tak jakoś zemścić za nieudały połów. Zbici morzem i głodem, wyprażeni od słońca i pragnienia, ze spojrzeniem ściganego zwierza czyhali na pierwszą lepszą sposobność, by się rzucić na zmyślonego przeciwnika i roznieść go jak krwawy łup. Wszyscy zbuntowali się przeciw nim, a oni w odwecie rzucą się na pierwszego lepszego, który ich czy słowem czy spojrzeniem wyzwie. Między nimi znajduje się największy zawadiaka rybak Mrdnjasz, od którego noża już niejeden robotnik przeleżał winobranie.

— Hej, Marcin, widzisz, idzie Mrdnjasz! — zaczepiają rybacy młodzieńca.

Marcin milczy, zwiesił głowę i tylko okiem szuka, którędy by uciec.

— Chwalił się, że ci nadgryzł jabłka!

— Jakiego jabłka? — wrzasnął Mrdnjasz i jednym rzutem łokci uwolniwszy się od sieci, stanął przed bednarzami mierząc ich po kolei od głów do pięt.

Na to jeden słabowity rzemieślnik ze strachu zawołał:

— To nie ja! Marcin się chwalił, że go Maryśka lubi.

— Który Marcin?!

Wystraszony rzemieślnik wskazał ręką towarzysza.

— Prawda to?

Chełpliwiec milczał.

— Prawda to? Gadaj!

Marcin, poczuwszy jak go gorący oddech rybaka łaskocze po twarzy, nie oparł się pokusie i nieco cichym, ale wyzywającym głosem rzecze:

— Tak, a co?

Ledwo okiem mrugnął, rzucił się na niego Mrdnjasz i jednym pewnym uderzeniem wbił mu w piersi nóż aż po rękojeść.

— Masz! — syknął głucho.

Młodzieniec zwalił się nagle, jakby go kto skosił. Z rany bluznęła mu krew, a gorący i czerwony strumień zmieszał się z kałużami wonnego moszczu.

Po grobowym milczeniu rozległ się piekielny krzyk. Wszyscy widze wskazywali palcem mordercę. Mrdnjasz ciągle jeszcze stał na tym samym miejscu, trzymając w dłoni zakrwawiony nóż.

— Związać go! — krzyczeli tchórze, ale nikt nie odważył się go ręką tknąć.

Morderca objął trupa i ludzi wzgardliwym spojrzeniem, wytrzeszczył zęby w głupawy uśmiech i trzymając nóż w ręce, przeszedł przez rzędy wystraszonych widzów i nie zwracając uwagi na ich lękliwe groźby, ruszył na spotkanie żandarmów.

III.

Od warsztatu do domu Anusi silna ręka dorzuciłaby kamieniem. Wsparty o słup szopy na deski, zapatrzył się majster Paweł w okna domu dziewczyny Nikoli i gdy się w nim wzburzyła żółć na wspomnienie brata Frana, wyprostował się i zdecydowanym krokiem ruszył ku schodom, które z pola dwoma niejednakowymi skrzydłami prowadziły do jej mieszkania. Z całej siły łupnął żelaznym pierścieniem we drzwi i kiedy prawie bezpośrednio po uderzeniu otwarło się jedno skrzydło, majster raczej wpadł, niż wszedł do mieszkania. Okiennice były zamknięte, więc w półmrocznej izbie ledwo można było rozróżnić zarysy urządzenia i dopiero gdy oczy jego przywykły do mroku, zobaczył, że przed nim na dosięż ręki stoi przestraszona, ale postawna i piękna dziewczyna.

— Tyś jest Anusia? — spytał majster szorstko.

Zmieszała się i milcząco kiwnęła głową.

Na to Paweł jeszcze ostrzej ponowił pytanie.

Bojąc się zniewagi, spytała go dziewczyna cichym głosem:

— Czego sobie pan życzy?

Zamiast odpowiedzi łupnął majster nogą w podłogę.

— Czego sobie życzę? Żebyś mi się odczepiła od syna! Nikola jest z porządnej rodziny. Taki chłopak to nie dla ciebie para! Zrozumiałaś mnie?!

Ona potwierdziła znowu głową.

— Jak cię jeszcze raz z nim spotkam, daję ci najświętsze słowo, że będą o tobie ludzie mówić, wszyscy będą o tobie mówić.

— Cóż ja sierota pocznę, kiedy Nikola mnie pokochał?

— Kpi z ciebie.

— E, żebym go to nie znała!

— Patrzcie ją! Czaryś mu zadała. Myślisz, że to się o tym nie wie, co? Czyż to gwoli twojej piękności wszyscy chłopcy poglupieli za tobą? Matka cię nauczyła... Co się tak na mnie patrzysz?! Nie wywiedziesz ty Nikoli w pole!

Chciała coś powiedzieć, ale majster jej przerwał:

— Nie chcę bękarta w swoim domu!

— Będę dla was dobra, majstrze Pawle. Grzech krzywdzić dziewczynę.

— Co tam za dziewczynę!... Nie złapiesz ty Nikoli w swoje sieci! Znam ja te babskie sztuki, moja nieboszczka jak ode mnie co chciała, tak samo przymilnie na mnie patrzyła. Każda kobieta to flądra...

Anusia zaczerwieniła się i spazmatycznie zapłakała.

— Nie becz! Jak ludzie usłyszą, pomyślą jeszcze, żem ci Bóg wie co zrobił!

Rękoma zakryła twarz i w nieutulonym płaczu drgały jej delikatne ramiona.

On ciągnął dalej nieco ciszej.

— Jeszcze by mi się to podobało!

Anusia podniosła ku niemu trwożnie zapłakane oczy. Majster nie wytrzymał spojrzenia i wstydząc się swojej słabości, wrzasnął z całego gardła:

— Nie dam Nikoli... zrozumiałaś?! — I nie czekając na odpowiedź, rzucił się na przywarte drzwi i trzasnął nimi za sobą, że aż cały dom się zatrząsł...

Tegoż wieczoru Nikola długo czekał na Anusię. I wieczorna gwiazda zaszła już za góry, a jej nie ma. Daremnie kilka razy nadstawiał uszu i powstrzymywał oddech myśląc, że to ona idzie. Czy jej się też co nie stało? Winobranie jest, to nawet i starzy szaleją.

Zapatrzył się w owe dalekie światła, między którymi wznosił się jej dom. Żebyż mógł tam polecieć!

Przed Nikolą unosiły się bajeczne kraje i czarowne słoneczne grody i kto wie, dokąd zaprowadziłyby go myśli, gdyby nagle jakaś lekka ręka nie dotknęła jego ramienia:

— Czemu mnie straszysz? Gdzieś dotąd była?

— W domu — odpowiedziała Anusia niepewnie.

— Nie kłam!

— Czekałam na starego kuma w sprawie winobrania.

— Znam ja tych starych kumów! Nie był to też przypadkiem jaki młodzik, nieszczęśnico? Taki galantny, albo jaki panicz, co ci się to tak podobają.

— Daj spokój, Niko, przecież mnie znasz.

— Dobre masz serce, ciężko ci powiedzieć nie, — zgryźliwie dodał młodzieniec. — Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

— Cóżem ja winna, jeśli moja matka była grzesznicą?

— Nauczyłaś się od niej!

— Co ty mówisz?!

— Co mi się podoba. A co?

— Biedna ja sierota. Nie mam nikogo ani z rodziny, ani do serca. Każdy we mnie bije, jakbym nie była chrzczonym stworzeniem. Lepiejby było, żeby mnie moja matka była wrzuciła w morze, zamiast mnie wychować taką biedną. Porodziła mnie na swój i mój wstyd!

— I na moje nieszczęście! — dodał Nikola całkiem cichym głosem.

— Jeśli mnie nie chcesz, życzę ci szczęścia! Jest dość dziewuch więcej szanowanych ode mnie.

— Ale piękniejszych nie ma...

— Kpij sobie, kpij. Nie będzie już tego długo! Zniknę jednego dnia i nikt nie będzie wiedział, gdziem poszła. A kiedy będę martwa...

— Kupię ci trumnę, — zażartował Nikola.

— Nie dręcz mnie, Bóg cię pokarze!

— Ja żartuję... Nie dałbym cię za wszystkie skarby świata... A teraz mi ładnie powiedz calutką prawdę, dlaczegoś się spóźniła.

— Przez Marcina. Mrdnjasz pchnął go nożem w serce i Marcin padł trupem na miejscu. Z powodu zbiegowiska ludzi nie mogłam wyjść z domu...

— Płakałaś za nim!

— Płakałbyś i ty, gdybyś był słyszał jego matkę, jak lamentowała za nim.

— Za mną byś nie płakała!

— Niko!

— Gdyby był żyw, drugi raz dałbym mu świdrem w gardło. Nie trza mu było mieszać się do cudzych dziewuch.

Nikola zawstydził się tych słów i ze złości i zazdrości nie wiedząc co począć, z zaciśniętą pięścią stanął przed nią i syczącym głosem rzekł:

— Zalotnico!

Ona wstrząsnęła się cała i szeroko otwartymi oczyma wpatrzyła się w swego dręczyciela. Chwyciło ją serdeczne rozżalenie i każde słowo podkreślała ruchami, jakby kawałek po kawałku zrzucała z siebie odzienie, by zostać całkiem nagą. I zawołała:

— Matko moja miła, czegóżem to doczekała! Nie przez Marcina, ale przez twojego ojca płakałam... Wstyd mi było powiedzieć. Ale powiem ci, kiedy chcesz. Tata twój był u mnie. Nie chce, żebyś mnie brał i mówi, że jeśli mnie jeszcze jeden raz z tobą zobaczy, obgada mię przed całym światem. A i ty, gdyby cię nie było wstyd, najchętniej posłuchałbyś swego ojca...

— Anuś, słońce moje, ni Bóg, ni ludzie nas nie rozłączą.

— Ale tata jest twoim panem. Jeśli cię zmusi, jeśli ci nie pozwoli...

— Zabiłbym go! — warknął Nikola chrapliwym głosem i obejrzawszy się, jakby za nim stali słuchacze, powtórzył jeszcze raz swoją groźbę:

— Zabiłbym!

— Rodzonego ojca?! — spytała Anusia przerażona.

Zamyślony i z wahaniem potwierdził skinieniem głowy.

— Niko mój, jedyna radości moja! — wykrzyknęła Anusia i rzuciła mu się w ramiona.

Młodzieniec objął ją i gdyby w tej chwili całe miasto, cały świat powstał na niego, nie byłby na krok ustąpił i żyw nie oddałby im dziewczyny. Jego ci jest i nikt nie śmie, choćby to był nawet jego rodzony ojciec, odebrać mu jej. Och, żebyż mógł walczyć o nią, a ona żeby była przy nim! Któżby się oparł jego pięści, gdyby ona dodawała mu odwagi spojrzeniem? Każde uderzenie, choćby najlżejsze, dodawałoby mu sił i biada byłoby rywalowi, którego dopadłby ręką.

Oboje pijani miłością i zachwytem zaszli w pobliską winnicę, która była ogrodzoną wysokim żywopłotem. Szukali samotności, jakiejś kryjówki, w której by bez przeszkody i przez nikogo nie widziani wyszeptali sobie słodkie wyznania. Niedaleko była szopa spleciona z winnej łozy. Wrota były otwarte. Trzymając się za ręce, weszli do mrocznego wnętrza. Spleceni w uścisku, opadli niemocni na gołą ziemię i jakby jeden drugiemu chciało wyssać żywotny dech, ucałowali się długim, niezaznanym jeszcze pocałunkiem... Pochwyciła ich potężna żądza niszczenia i miłowania, zatracenia się z miłości, uduszenia od pocałunków. Drżące ich ręce biorą obłe kształty ciała, a zęby wgryzają się w jego niepokalaną biel. Palce ich ślizgają się po najskrytszych kątkach nagości. Ciała ich zimne, świeże i gładkie, oddech gorący i rozpalony, a ręce ściskają ciało w coraz to ciaśniejszym i szaleńczym uścisku. Dla nich nie istnieje już nic więcej i sami sobie są początkiem i końcem i jedynym szczytem życia... Płomienna i nieprzeparta siła zlała ich w jedno życie i w miarę jak siła ich rośnie w nieskończoność, zdaje im się, jakoby krew pomieszała się im i jakoby to jedno jedyne serce biło. Jeszcze chwila, a pękłoby...

— Teraz niech nas rozdzielają, — szepnął Nikola.

— Miły mój!

— Żono moja, miłości moja!

Z wdzięczności byłby najchętniej ukląkł przed nią i z pochyloną głową i skruszonym sercem objął jej kolana.

Anusia, roześmiana i senna zapatrzyła się w Nikolę i w miarę jak patrzyła w niego, budziło się w niej nieznane uczucie: jakieś dalekie przeczucie, którego dotąd nie była zdolna przeniknąć... To oczy jej wpijały jego postać i wydawało się jej, jakoby ten obraz jego schodził do dna jej istoty. Pierwszy raz w życiu czuje teraz, że Nikola jest jej panem i że nawet śmierć nie może ich już rozdzielić.

— Co byś począł, gdybym ci umarła?

— Nie przeżyłbym cię!

Nikola rósł, uczuwał się mocniejszym, swobodniejszym, dumniejszym i w swojej radości pełnej wiary w siebie zapragnął, by ich ojciec zaskoczył w tym uścisku. Jego groźby wydały mu się śmiesznymi.

— Co by tato powiedział, gdyby nas tak teraz zobaczył?

— Matko Boża, gdzie bym się podziała ze wstydu? — i na samą myśl o tym wybuchnęła płaczem. W tej chwili z głębi serca poczuła żal za swoją nieboszką matką. Wybaczyła jej wszystkie grzechy. Dopiero teraz pojmowała jej smutek i nieutłumioną wzgardę dla ludzi, którzy ją wystawiali na cierpienia. Ulitował się Bóg nad nią!

— Czemu płaczesz?

Anusia stłumiła szloch i dopiero gdy się nieco uspokoiła, cicho, jakby do siebie rzecze:

— Biedna moja młodość!

— Kwiecie mój.

— Grzesznico, powiedz.

— Żono moja! — i objąwszy ją ponownie, pocałunkami uciszył jej sumienie. I gdy się im usta rozdzieliły, mieli wrażenie, że znowu przerwał im się sen i obudzeni daremnie szukają wiązadła między snem a jawą. Przez pletnie winnej łozy jak przez sito ciekło światło księżyca, zabarwiając ciemną ziemię. Pewno księżyc wysoko podskoczył na niebo i teraz świeci nad ich szopą.

— Późno jest!

— Nie jeszcze!

Otwarli wrota, by wyjść przed szopę. Przed nimi roztwarł się widok na winnice, które terasowato spadały stopniowo ku morzu. Za każdym płotem było po jednym stopniu szerokim jak i ogrodzona posiadłość, a po tych olbrzymich schodach rozlało się światło księżyca, przelewając się jak wodospad aż ku morskiej toni. Rozjaśnione ścieżki i ścieżynki, które przecinały ową pochyłość stopni, przypominały wodospad i jak potoki i ramiona zwiększały fale światła. Wszędy przenikało rozlane światło księżyca i wilgotna jego jasność orosiła i zalała cały kraj, a zwłaszcza białe i kręte wybrzeże, które zamykało zatokę przystani. To bezmiar jasnej nocy połączył ląd i morską toń. W czarownej poświacie ginęły brzegi i wzgórza i wszystko się wyrównywało, ścieląc się w jednej bezgranicznej dolinie. Tylko cienie oliwek lub samotne cyprysy przerywały tę błękitnawą poświatę księżycową. Cienie drzew były czarne, ostre, nieruchome; koło nich jak i koło ciemnych skał skupiały się fale światła.

— Widno jak w dzień.

— Zaraz go zasłoni! — zawołał Nikola wskazując na zabłąkane obłoczki, co się przybliżały do księżyca. Nie długo trwało i pas mrocznego cienia przesłonił winnice. Anusia jeszcze mocniej przytuliła się do Nikoli, jakby się usuwała przed niespodziewanym mrokiem.

— Czego chcesz?

— Kocham cię!

Po krótkim milczeniu przemówił znowu:

— Jutro nasze zaręczyny.

— Jutro? — spytała Anusia jakby nie pojmowała znaczenia słowa.

— I żeby było weselej, osadzimy maszt na nowym statku...

— Lęk mnie bierze...

— Przed kim?

— Przed twoim ojcem.

— Głuptasie!

— Możecie to zrobić i beze mnie...

— Ty musisz być na statku.

— Przyjdę, mój miły... Gdybyś mnie nawet na śmierć wołał, posłuchałabym cię...

— Czemu drżysz?

— Chłodno mi!

Półmrok trwał tak długo jak i ta ich rozmowa, po czym na nowo wyjaśniło się niebo i księżyc posunął się jakoś szybciej, jakby pragnął czym prędzej oddalić się od owego kręgu drobnych obłoków. Ale im prędzej odsuwał się i księżyc, tym prędzej płynęły za nim obłoki. Wtedy też i zakochani w milczeniu puścili się w drogę. Oboje pragnęli jak najprędzej dojść pod dach. Jakiś tajemny ziąb czy jesienny chłód naglił ich, by szli jak najśpieszniej.

Obłoki towarzyszyły kochankom przez całą drogę, a gdy stanęli przed domem dziewczyny, na nowo zakryły księżyc. W ich cieniu uścisnęli się i nie rzekłszy ni słowa, wymknęła się Anusia z uścisku i biegiem wspięła się po schodach, które wiodły do wejścia do domu. Skrzypnęły drzwi i w ciemnych ich ramach jeszcze raz wyprostowała się postać dziewczyny. Lecz gdy tylko weszła do mieszkania na nowo zaświecił księżyc, oświetlając obejście i front jej dwupiętrówki...

IV.

Dopiero co zaczerwieniła się zorza, a robotnicy przyszli już do warsztatu. Zaspani i poniekąd źli, czekali na gospodarza, który ich na taką niezwykłą i wczesną porę zamówił. Nad górą ledwo wschodziła pierwsza światłość, która jedną bladą pręgą opasała cały stok górski. Odblask jej odbijał się na spokojnej, najsłabszym nawet tchnieniem niezmarszczonej morskiej toni. Po owym wodnym zwierciadle, na którym załamywał się blask, niesłyszalnie oddalała się z przystani wielka łódź z rozpiętymi żaglami. Sunęła po powierzchni, a ponieważ u tyłu jej na długiej linie przywiązana była mała łódź, szerzyły się za nią cztery brózdy. Przed wielkim i małym dziobem pieniło się morze, co na kształt skrzydeł serafa uskrzydlało boki wielkiej i małej łodzi.

— To bracera pana Keka.

— Zeszłego roku uderzyła przodkiem i nic jej nie było. Poprawili jej dno i macie ją, do diabła, nawet mina by jej nie zrobiła nic złego.

— Twardsza jest od głowy swego pana.

Robotnicy wybuchnęli śmiechem.

— Keko przecież nic nie winien, że się urodził na Braczu. Powiadają, że nawet w Wenecji kupował rozum, a jak wrócił do domu...

— Majster Frano idzie, — przerwał mu towarzysz.

Majster kiwnął im przyjaźnie głową.

— Wczas wstaliście, co?... Wszystko w porządku? — i nie czekając na odpowiedź, pierwszy wspiął się po drabinach na pokład statku.

— Żebyście mi ładnie przystroili przód i tył, bo i narzeczona będzie na statku.

Obok masztu, który był przywiązany powrozami, leżały stosy bukszpanu i snopy zieleniny. Pali, słupów, chorągiewek było bez liku. Były już nawet wykopane dołki, w które robotnicy osadzą drewniane słupy, owite zielenią i ustrojone papierowymi kolorowymi chorągiewkami. Belki oplotą wieńcami bukszpanu, by w kształt gwiazdy lub krzyża połączyć osadzone słupy. Tak rzędem aż do statku, a na statku same wieńce i festony przeróżnej zieleni, które nieprzerwanymi zwojami otoczą pokład. Od łuku do łuku po jednej chorągwi, po jednej trójkolorówce, którymi na znak większej uroczystości i wesela załopoce wiatr.

— Wesoło chłopcy! — zachęca ich majster. A oni nie szczędzą ni rąk, ni młotów i jakby szło o zakład, wyściugują się, kto prędzej i lepiej dokończy zaczętego dzieła.

— Zabiłem mu go aż po samo gardło! — chwali się dziarski robotnik, który co dopiero jednym uderzeniem młota zabił kołek w przygotowaną dziurę.

— Aważe, Józek! — krzyczy drugi zamachnąwszy się siekierą.

— Nie chce mnie usłuchnąć.

— To go piłą!

— Na co mi piła, kiedy mam kolano? — Wyskoczyły Józkowi żyły, jakby mu miały pęknąć, ale pod naporem kolana trzasnęło mu drzewo.

— To ci chwat!

— Jego nieboszczyk dziadek miał młyn i jak nie było wody, to rękami obracał młyński kamień.

— A niech go diabli!

— A cóż to był za młyn?

— Taki, co się językiem miele.

— Nie wierzysz?

— Spytaj Zlodra.

— A toś trafił dopiero!

A nad ich głowami wśród zielonych wieńców bieli się statek, jaśniejszy od śniegu i taki nowy i strojny czeka na Nikolę, aby go, gdy tylko maszt zostanie podniesiony, i ogłoszone zaręczyny, ponieść w dalekie kraje. Na dziobie wypisane ma czarnymi literami imię świętego patrona. W tyle statku wznosi się największa chorągiew, a wielka trójkolorówka pokrywa cały sler aż do spodu dzioba. Rzekłbyś, że chorągiew spokojnie czeka na wiatr, żeby ją ożywił, aby się rozwinęła i załopotała na znak wielkiej radości.

— Oj... Już idą! — zawołali chórem robotnicy.

— Piękniejsza niż wiła.

— Zawstydziłaby i królewnę.

— A i Niko kawał chłopa.

— Mógłby nim mury rozbijać.

Popod bukszpanowe łuki szli narzeczeni w odświętnym stroju. Narzeczona w białym jedwabiu ze złotymi ozdobami, a narzeczony w wysokich butach i z kwiatem u czapki. Za narzeczonymi kroczył stryj Frano i jak miał plecy szerokie, tak prawie zasłaniał nimi chłopca i dziewczynę. Zachowanie jego i wygląd mówiły, że źle trafiłby ten, kto odważyłby się choćby krzywo spojrzeć na tych młodych.

— Dziękuję, chłopcy, żeście mnie tak dzielnie posłuchali! — pochwalił ich majster Frano. — Aleście ubrali, ho-ho!... A i maszt przywiązaliście! Dalejże!

Robotnicy pociągnęli za powrozy i przy jednogłośnym „isial" podnieśli pień zielonej niegdyś sosny. Słychać było tylko zgrzyt łańcuchów i nawoływanie robotników. A po każdym wysiłku jeden zgodny oddech, potem znów chwyt, by wiedziano, co który może. Maszt bujał już w powietrzu, a w jego wysoki wierzchołek zapatrzyli się narzeczeni i stryj Frano. Ze wzruszenia ledwo dyszą i rękoma powtarzają ruchy robotników. Jeszcze chwila, a maszt zostanie wpuszczony w otwór przygotowany w środku pokładu.

Dokończenie nastąpi



Nina Rajewska w „tańcu tatarskim".

W KRÓLESTWIE TERPSYCHORY

POKŁOSIE TANECZNE 1941

Duża ilość teatrów i teatrzyków w Warszawie stworzyła koniunkturę nielada dla sztuki tanecznej. Zainteresowanie kunsztem Terpsychory wzrosło, publiczność bardzo gorąco przyjmuje popisy tańczących gwiazd, orientując się doskonale w wartościach poszczególnych jednostek. Rzecz prosta — w tańcu króluje kobieta. Mamy ciekawe indywidualności artystyczne, mamy różnogatunkowe przedstawicielki choreografii. Są to przedstawicielki kilku kierunków, a więc: klasycyzmu tanecznego, dalej tzw. tańca „charakterystycznego", tańca „wyzwolonego" i wreszcie — akrobatycznego.

Rzecz prosta, tak w tańcu, jak i w śpiewie, o karierze artysty decyduje fundament wiedzy, czyli szkoła. Tym czym jest dla sztuki śpiewaczej „bel canto", jest dla tańca szkoła klasyczna. Powiedzmy szczerze: ideałem tańca scenicznego jest taniec klasyczny! Zwiewność i urok tego tańca odrywa tancerkę od ziemi, daje jej jakąś poetycką irracjonalność, odbiera tańcowi realną pospolitość.

Z przedstawicielek tego kierunku najwyżej dziś wzniosła się młodziutka — Stanisława Selmówna, wychowanka szkoły baletowej b. Opery Warszawskiej, obecnie Wójcikowskiego, której technika tanecznego „bel canto" — osiąga tę nieskazitelność, jakiej idealnym wcieleniem była genialna Pawłowa. Praca, wytrwałość i ambicja idą tu w parze z darem Bożym — talentem. Siła, lekkość, czystość i precyzja — z wdziękiem i szczerością bez egzaltacji, bez pozy i afektowanej, manierycznej czułostkowości. Selmówna dążąc stale wzwyż, pozostawiła daleko za sobą byłą primoballerinę Opery, Barbarę Karczmarewicz. Ta świetna klasyczka robi dziś wrażenie zaniedbanej technicznie, a zdawkowej w interpretacji. Naturalnie, trudno nie przyznać jej wielu zalet, odmówić wiedzy i tzw. „klasy", ale — niestety — najlepszy okres jej kariery zdaje się należeć już do przeszłości.

W zespole baletu teatru m. Warszawy zaznacza się bardzo korzystnie solidna technika Steni Stanisławskiej, której brak może polotu i poezji, ale nie brak zalet dobrej szkoły i śladów rzetelnej pracy. Dobrą formę ujawnia Topolnicka — tancerka technicznie doskonała. Młoda i dość wszechstronna Basia Bittnerówna wykazuje niewątpliwie postępy, dowód pracy nad klasyką, bez której — jak mówiliśmy na wstępie — taniec jest raczej dyletanckim pląsem. Wreszcie trzeba zaznaczyć możliwości i dane Maculewiczówny, stanowczo przez kier. baletu w teatrze m. Warszawy za mało wykorzystywanej. Czy[illegible]ość linii i jasność, swoboda koloratury tanecznej ładnie mówią o przyszłości młodej „klasyczki".

Drugi kierunek, kierunek tzw. „tańca charakterystycznego" jest najprzystępniejszy, najpopularniejszy i... najmniej wymagający trudów, studiów i ćwiczeń. Dobra klasyczka zawsze osiągnie sukces w jakimś czardaszu, tarantelli, czy bolerze. Mamy w pamięci przykład Selmówny, która w ub. sezonie w „Nowościach" zbierała huczne oklaski za płomiennego czardasza, oddanego z temperamentem i pasją, a przede wszystkim z lekkością, jakiej żadna z typowo charakterystycznych tancerek nie osiąga. I odwrotnie: rutynowana, doskonała tancerka tego drugiego typu, Sabina Szatkowska, tylekroć podziwiana w ognistych czardaszach, orientalnych impresjach, pełnych wyrazu i siły, a także przekonywujących wyczynach indiańskiej tancerki w „Rose Marie" — była ciężką i twardą w „Muzyce nocy" na scenie teatru miejskiego. Wśród tych właśnie tancerek, które grupujemy pod nazwą „charakterystycznych" przoduje dziś pełna egzotycznego (bez artystycznej blagi) uroku Nina Rajewska, fascynująca partnerka pierwszego tancerza polskiego Leona Wójcikowskiego. Jej gibkość pantery, jej czar osobisty, poparte ogniem wewnętrznym, a umocnione doskonałą szkołą (bagatela! Wójcikowski!!) są w pewnym zakresie bez konkurencji! Dużo walorów ujawnia Nowakówna, wychowanka szkoły baletowej b. Opery Warszawskiej. Kto wie — gdyby w swoim czasie pracowała z większym zapałem, a raczej z większą wytrwałością, poszłaby może po linii klasycyzmu.

To szukanie „łatwizn" zmieniło też linię artystyczną Glinkówny. Nie dotrzymała tych obietnic, które dawała w zaraniu kariery. Idzie po linii mniejszego oporu, operując efektami raczej music--hall'owymi.

Taniec wyzwolony (wyrazu „plastyka" przedstawicielki tego kierunku nie tolerują) — to już zupełnie inna kategoria. Tu chodzi raczej o tzw. „podejście", o koncepcję, o trochę mózgowej „refleksji". Wszystko to, przy walorach wrodzonej inteligencji i wdzięku, daje często rezultaty ciekawe, nie banalne odbiegając daleko od kanonów ideału tanecznego. Bezkonkurencyjnie przoduje wśród tych rewolucjonistek choreografii nasza sława międzynarodowa Ziuta Buczyńska, której „Niepotrzebne dziecko" na długo zostanie w tej dziedzinie niedościgłym wzorem. Jest to pierwszy niewątpliwie szczęśliwy i wiele obiecujący krok na drodze, po której zdąża i na której szuka ekspansji taniec nowoczesny, pragnący wchłonąć w siebie bujną tematykę i problematykę dnia dzisiejszego. Jest to moment („Niepotrzebne dziecko"), w którym taniec z pola czystych efektów plastycznych przesuwa się w kierunku dramatu psychologicznego, szuka wyrazu dla przeżyć duszy ludzkiej, dla załamań losu, i stara się motywy tych przeżyć wkląć w milczącą, lecz wnikliwą mowę ruchu, gestu, postawy. W poszukiwaniu motywów egzotycznych wykazuje dużo pomysłowości Sierżanka. Skłon ku grotesce daje specjalny wyraz produkcjom Kwapiszewskiej. Chłopięca, rasowa sylweta jest znów największym walorem Marynowskiej.

Wreszcie — akrobatyka. Czasami jest to raczej popis par exellence ekwilibrystyczny, jak u bądź co bądź fenomenalnej choć właśnie „nietanecznej" Maliny Michalskiej. Ryzykowne jej wyczyny biją bardziej utanecznione i znacznie powiewniejsze popisy Bożenny Alessol Szkoda, że ta pełna wdzięku tancerka akrobatyczna „zachorowała" na klasykę. Rzecz inna — studia nad czystą klasyką są obowiązkiem tancerki każdego typu czy kierunku.

Reasumując — stwórzmy listę naszych „tańczących gwiazd". Palmę pierwszeństwa oddać tu musimy Stanisławie Selmównie, o której powiedziała niedawno — wytrawna znawczyni i nielada koneserka choreografii, sławna niegdyś w całym świecie primadonna oper i wieloletnia ich kierowniczka, J. Korolewicz-Waydowa: „to najlepsza od czasu Michaliny Roglińskiej tancerka klasyczna!"

Dalej lista niezależnie od kierunku — przedstawia się następująco: 2) Rajewska, 3) Bittnerówna, 4) Karczmarewicz, 5) Nowakówna, 6), 7) Stanisławska, Szatkowska, 8) Topolnicka, 9) Glinkówna, 10) Maculewicz, 11), 12) Alesso, Michalska. Lista nie obejmuje przedstawicielek tańca wyzwolonego, o których mówiło się powyżej. Niema też na niej tancerek tak swoistych, że właściwie tworzących swój własny, niezależny kierunek: sióstr Halama, o których przy okazji pomówimy oddzielnie.

Czesław Pudłowski



„Kujawiak"
Ziuta Buczyńska
Fot. Pudłowski



— Czy miałeś urlop w zeszłym roku? — pyta Józef Andrzeja.

— Naturalnie, nawet potrójny: mój własny, mojej żony i mojego szefa.

— Następnym razem, kiedy pan będzie całował swoją żonę, niech pan nie stale przed samym oknem jak wczoraj wieczór.

— Przepraszam pana, wczoraj wieczorem nie było mnie całkiem w domu.

Pan Michał kąpie się ze swoją rodziną w kąpielisku familijnym. Po jakimś czasie odchodzi z ogromnym guzem na czole. Spotyka po drodze przyjaciela, który pyta: — Cóż ci się stało Michale?

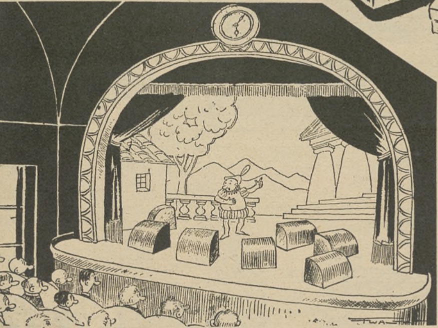
— Och głupstwo, dałem mej żonie tylko małego klapsa, gdy stała na skoczni.

— I?

— To nie była moja żona.



— Co miałem zrobić panie konduktorze? W wagonie jest strasznie gorąco, a nie wolno mi ani okna otworzyć, ani przesunąć regulatora na „zimno". (Bertoldo, Włochy)



Sufler zaprosił swą rodzinę do teatru. (Marc Aurelio, Włochy)

— Ten lotnik, z którym wczoraj byłaś w parku, bardzo mi się podoba — mówi matka do córki. Córka jest przestraszona: — Ależ mamo, masz przecież ojca!

— Ożeniłbym się z nią chętnie, ale zrobiła uwagę, przez którą nasze małżeństwo nie doszło do skutku.

— Cóż takiego złego powiedziała?

— Powiedziała: „nie".

— Pańską twarz widziałem już z pewnością gdzie indziej.

— Niemożliwe! Od mego urodzenia noszę ją zawsze na tym samym miejscu.

— Czy to prawda panie doktorze, że żonaci mężczyźni żyją dłużej niż nieżonaci?

— Bynajmniej, tak im się tylko wydaje.

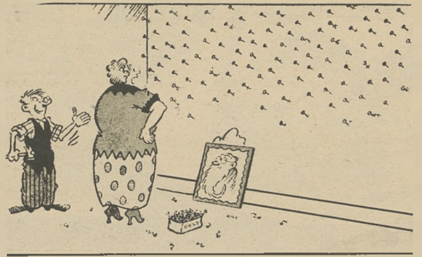
Lili przepada za kotami.

Wczoraj kot nie miał humoru. Nie mruczał, nie łasił się. Lili jest bardzo zmartwiona.

— Kot się na mnie obraził — mówi.

— Dlaczego?

— Kupiłam łapkę na myszy.



Gdy się zdecydujesz, gdzie obraz ma wisieć, powyjmuję inne gwoździe z powrotem ze ściany. (Képes Vasárnap, Węgry)

*

Ojciec, który wszedł niespodziane do pokoju: — Mój panie, jak pan śmie całować mą córkę?! Lili, jestem bardzo niemile zaskoczony!

— My też, papo — odpowiedziała Lili.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 28 (31)

A. DZIAŁ ZADAŃ

3-chodówka Nr. 28 (31).
Prof. N. A. Izwolski („Szachmaty") 1936.
Czarne: Ke8, Ga2, piony: b7, c4, 36, e7, f6 (7).
Białe: Kb4, Hh8, Ge5, Sf8, piony: g6 (5).
3-chodówka. 5+7—12.
Mat w 3 posunięciach.

Końcówka (studium) Nr. 28 (31).
K. A. L. Kubbel („Szachmaty" 1936).
Czarne: Ka3, Hb8, piony: a7, a6, c7, c6, f7, g3 (8).
Białe: Kg1, Hb1, piony: b3, c2, f2 (5).
Końcówka (+) 5+8=13.
Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 27 (30) (Chicco): 1. a5 (grozi e4): I. 1... S–e5 (lub Se6 jakk.) 2. H–c5 i 3. ×. II. 1... S–g6 inaczej 2. H–c4 i 3. ×. III. 1... K–c6 2. H–b6 i 3. ×.

Rozwiązanie końcówki Nr. 27 (30) (Isajew): 1. a7 H–4 2. f7 H–a3 3. S–b4 H×b4 H×f3 4. S–d5 H–a3 5. S–e7 H–f3 6. S–g6 h×g6 7. h×g6 i wygrywa.

B. DZIAŁ PARTII

PARTIA Nr. 52 (55)

Białe: Zollner — Czarne: Schröder
grana w Monachium w r. 1940
Szkocka

1.	e4	e5	7.	H×d4	Sg–e7
2.	S–f3	S–c6	8.	G–c4	S–c6
3.	d4	e×d4	9.	0–0!	S×d4
4.	S×d4	S–e5?	10.	G×f7†	K–e7
5.	f4	c5?	11.	G–g5	mat.
6.	f×e5	c×d4			

PARTIA Nr. 53 (56)

Białe: Gerbec — Czarne: Wei.
grana w Wiedniu w r. 1941
Hiszpańska

1.	e4	e5	11.	G–g5	h6
2.	S–f3	S–c6	12.	H–h5(3)	h×g5
3.	G–b5	a6	13.	H×h8	H–b8(4)
4.	G–a4	S–f6	14.	S–g6!!	f×g6
5.	0–0	×e4	15.	H–g8	H–a7(5)
6.	d4	b5	16.	W×e7†!	K×e7
7.	d5	–Se7(1)	17.	W–e1†	K–f6
8.	W–e1	S–d6(2)	18.	g4!	S–f7
9.	S×e5!	b×a4	19.	S–e4	K–e5
10.	S–c3	G–b7	20.	H×f7	

Czarne poddały się.

UWAGI:

(1) Najlepsze było: 7... b×a4 8. d×c6 d6.

(2) 8... S–c5? 9. S×e5 b×a4 10. H–f3 f6 11. H–h5† g6 12. S×g6!

(3) Grozi S–e4, poczym S–d6† i H–f7 mat. Czarne muszą bić Gg5.

(4) Czarne chcą utorować drogę królowi. Białe nie pozwalają na to.

(5) Droga jest wolna, lecz przy pomocy ofiary białe wyprowadzają króla na środek szachownicy.

PARTIA Nr. 54 (57)

Białe: Kieninger — Czarne: Mróz
grana w turnieju w Monachium w r. 1941
Obrona sycylijska

1.	e4	c5	8.	0–0	Sb–d7
2.	S–f3	d6	9.	Wf–e1!	e6(2)
3.	d4	c×d4	10.	e5!	G×g2
4.	S×d4	S–f6	11.	e×f6	G–b7
5.	S–c3	a6(1)	12.	f×g7	G×g7
6.	g3!	b5	13.	S–f5	G–f8(3)
7.	G–g2	G–b7	14.	W×f5	

Czarne poddały się.

UWAGI:

(1) Zaniedbuje rozwój strony K. Należało grać 5... g6.

(2) Prowadzi do przedwczesnego zakończenia partii. Należało grać: 9... H–c7.

Natomiast niekorzystnym także byłoby: 9... g6 10. e5! G×g2 11. e×f6 G–b7 12. f×e7 G×e7 13. G–g5 f6 14. S–e6.

(3) 13... 0–0 przedłużałoby opór czarnych.

PARTIA Nr. 55 (58)

Białe: Dr. Camara — Czarne: Flores
grana w Sao Paolo w r. 1937
Obrona budapesztańska

1.	d4	S–f6	7.	G–g5	S–c6
2.	c4	e5	8.	H–e3	0–0
3.	d×e5	S–e4	9.	S–c3?	S–g4
4.	H–d5	f5	10.	G×e7	S×e7
5.	e×f6?	S×f6	11.	H–g3	S×f2
6.	H–e5†	G–e7	12.	Białe poddały się.	

U KRÓLA PEREŁ



Naturalnie zanurza się poławiaczka lub poławiacz w odpowiedniej masce na twarzy. Praca odbywa się wtedy bez przeszkód.

Powrót z połowu. Teraz przegląda się wszystkie muszle, aby je „szczepić".

Fot. Weltrundschau

To nie groszek zielony, lecz perły, perły, perły. W specjalnej sali dziurawi się je i nawleka na





w otwartą muszlę zapuszczają delikatne ręce „jąderko", dokoła którego uformuje się drogocenna kulka.

Zaszczepione perłopławy przymocowuje się do sieci i na rusztowaniu z drzewa zawiesza we wodzie.

W ostatnich dziesiątkach lat w świecie jubilerskim po tej i tamtej stronie Atlantyku i Pacyfiku, stało się sławnym nazwisko Mikimoto — króla pereł. Jak w swoim czasie Edison wynalazkiem maszyny parowej a Ford typem samochodu, który w całym świecie znany był jako „Ford", tak Japończyk Mikimoto cieszy się w świecie sławą króla pereł a jego perły znane są jako „perły Mikimoto". Sławę swoją zawdzięcza on temu, że podniósł i rozwinął do najwyższego stopnia sztuczną hodowię pereł. Wprawdzie nie jest on odkrywcą tej sztuki, była ona bowiem znana już bardzo dawno biegłym we wielu innych sztukach Chińczykom. Mikimoto jednakże wskrzesił ten obumarły kunszt i doprowadził go w ciągu sześćdziesięciu lat do najwyższego rozwoju. Naturalnie Mikimoto strzeże swoich tajemnic, na tym przecież opiera się jego sława i jego majątek.

Hodowla pereł sama w sobie przedstawia się dość prosto, zwłaszcza gdy patrzymy na zdjęcia. Poławiaczki lub pojawiacze pereł z Korei wypływają na morze i podobni do kormoranów zanurzają się pod wodę, by łowić perłopławy do szaflika. Po wyciągnięciu muszli na powierzchnię wody następuje operacja. Trzeba do muszli wpuścić jądro, dokoła którego będzie się mogła utworzyć drogocenna kulka. Tak zoperowane muszle przyczepia się do sieci i sieci te zawieszone na rusztowaniu podobnym do tratwy, spuszcza się do wody na przeciąg 3 lat. W tym okresie tworzy się właśnie perła. Potem znowu wyciąga się sieci, otwiera muszle, i wyjmuje gotową perłę. Kiedy o tym czytamy, wydaje się nam to rzeczą łatwą, praca ta wymaga jednak ogromnego wysiłku i niekończących się nigdy trudów.

Już samo „szczepienie" perłopława jest zabiegiem, który wykonać mogą jedynie ręce delikatne i doświadczone, „szczepionka" też musi być starannie wybrana, a ostatecznie, tylko co trzecia lub czwarta perła jest tak doskonale okrągła i taki posiada blask, że można ją sprzedać. Po wypłukaniu i wysortowaniu przechodzą perły do specjalnych hal, gdzie znowu doświadczone i delikatne ręce przedziurawiają je i nawlekają na sznury. Niedługo ozdobią one szyję jakiejś rozpieszczonej i rozkapryszonej damy, która nie wie często, ile trudu jej naszyjnik z pereł kosztował.

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 -- Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr 900